



EDGAR ALLAN POE

---

# Król Dzumiec

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

EDGAR ALLAN POE

# Król Dżumiec

(OPOWIEŚĆ ZAWIERAJĄCA PEWNĄ ALEGORIĘ)

TŁUM. BOLESŁAW LEŚMIAN

*Bogowie znoszą i potwierdzają w królach czyny,  
które są źródłem ich przerażeń, gdy je popełnia motłoch.*

*Buckhurst: Ferrex et Porrex*

W noc październikową, około północy za dostojnego panowania Edwarda III, dwaj majtkowie należący do załogi „Free-and-Easy”, kupieckiego dwumasztowca, który kursował po między Ekluzą (w Belgii) a Tamizą i który w tym czasie zarzucił kotwicę w tej rzece, upajali się swym pobytem w sali pewnej oberży, w parafii św. Andrzeja, w Londynie — która to oberża miała za godło konterfekt<sup>1</sup> — wesołego wilka morskiego.

Sala — mimo lichej budowy, mimo szerniałości od dymu, niskiego pułapu i podobieństwa do wszystkich zresztą karczem onej epoki, w czasach dziwołaźnych gromadek rozrzuconych tam i ówdzie opojów, wcale niezgorzej odpowiadała swemu przeznaczeniu.

Wśród owych gromadek dwaj nasi majtkowie tworzyli — najciekawszą, jeśli nie najbardziej godną uwagi.

Ów, co się zdawał pierworodniejszy i towarzysza swego charakterystycznie Udźcem przeżywał, niepomierne też wzrostem owej dwójcy przodował. Miał — bez mała sześć i pół stopy wysokości<sup>2</sup> i nałogowe pochylenie ramion było snadź nieodpartym wynikiem tak niesłychanej postawy. Jego naddatek wzwyż był — bardziej niż zrównoważony innymi skądinąd niedoborami. Był wyjątkowo szczupły — i, zdaniem swych przyjaciół, mógł z powodzeniem zastąpić po pijanemu — wstęgę bandery na wierzchole masztu, zaś na czczo — drzewce trójkątnego żagla. Wszakże te i tym podobne żarty nigdy nie poruszały mięśni śmiechu wilka morskiego. Pomimo wybitnych policzków, olbrzymiego i krogulczego nosa, obciętego podbródka, pomimo wreszcie osunięcia się dolnej żuchwy i wypuklizny przeogromnych, białych oczu — wyraz jego oblicza, aczkolwiek napiętnowanego pewną odmianą mrukliwej dla wszechrzeczy obojętności, był nad wszelki opis i nad wszelkie naśladownictwo — uroczysty i poważny.

Młodszy wiekiem majtek całokształtem zewnętrznego wyglądu zgoła wyodrębnił się i odzwajemniał swemu towarzyszowi.

Dwoje nóg kabląkowatych i przykucliwych dźwigało jego ciężką i krępą osobę, zaś osobliwie krótkie i grube ręce, zakończone pięściami nieprzeciętnych pomiarów, zwisały, kołysząc się na strony jak łapy żółwia morskiego. Skrzyły się drobne, nieokreślonego koloru, głęboko we łbie osadzone ślepia. Nos znalazł swój stały pochówek w bryle cielska, które oblekało głębkę okrągłą, pulchną i czerwoną, a gruba górna warga wygodnie spoczywała na jeszcze grubszej dolnej z wyrazem osobistego zadowolenia, które właściciel obojga zwiększał nałogiem zwilżania swych warg od czasu do czasu jęzorem. Ten, popatrując na swego sąsiada, już to słupiał, już to uśmiechał się szydlerczo. I czasem, gdy spojrzął mu oko w oko, purpurowiał jak słońce, gdy przed zachodem spogląda ze szczytów skał Ben-Nerisu.

Toć urozmaiconą i przypadków pełną była w pierwszych godzinach nocnych piel-

Pijaństwo, Ucieczka

<sup>1</sup>konterfekt (przestarz.) — obraz. [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup>sześć i pół stopy wysokości — ok. dwóch metrów; stopa ang. jest jednostką miary wynoszącą w przeliczeniu 30,48 cm. długości. [przypis redakcyjny]

grzymka dostojnej dwójki po oberżach okolicznych. I najsutsze zasoby pieniężne nie przetrwają wieków, toteż do oberży, o której mowa, przyjaciele nasi pokwapili się z pustą kieszenią. Ni mniej, ni więcej, jeno, w chwili gdy się właściwie opowieść nasza zaczyna, Udziec i jego towarzysz Hugh Tarpaulin siedzieli w pośrodku sali i, wsparłszy obydwą łokcie na obszernym, dębowym stole, ukryli twarze w dłoniach.

Udzielwszy bezpiecznego schroniska zawartości pokażnej butli nie opłaconego zgoła *humming-stuffu*, nie bez zdziwienia i nie bez oburzenia zerkali ukosem na złowieszcze wyrazy „Nic na kredę”, kreślone na ścianie kredą — tą bezczelną kredą, która ma śmiałość zaznaczenia swej nieobecności.

Nie dlatego, iżby zdolność czytania kreślonych liter, uchodząca wśród ówczesnego tłumu za nieco mniej kabalistyczną od sztuki onychże kreślenia — mogła być, ściśle biorąc, policzona za winę obydwom wychowañcom morza, lecz, mówiąc po prawdzie, była w kształcie liter jakowaś pokrętność, a w całości rodzaj trudnego do opisanego — wykolejenia, które, zdaniem obydwu marynarzy zapowiadały jakąś przeklętą klęskę i słotę, i wobec których postanowili natychmiast obydwaj — według metaforycznej umowy Udźca — czuwać przy pompach, zwinąć żagle i dybać przed się<sup>3</sup> wbrew wiatrom. A zatem, wysącywszy resztę *ale'u* i gruntownie zapiąwszy swe kubraki, porwali się ostatecznie ku drzwiom. Tarpaulin, co prawda, po dwakroć nawiedził wnętrze kominka, nie odróżniając go od drzwi, lecz koniec końcem ucieczka powiodła się szczęśliwie i w pół godziny po północy nasi bohaterzy paradowali na wietrze, raźnie krocząc poprzez ciemną uliczkę w kierunku schodów Św. Andrzeja, ścigani z zapalem przez oberżystę Wesołego Wilka Morskiego.

Na wiele lat przed i po epoce, w której odbywa się ta opowieść dramatyczna, w całej Anglii, a przede wszystkim w stolicy, rozlegał się okrzyk złowrogi: Dżuma! Stare Miasto było po większej części wyludnione i w tych straszliwych, z Tamizą sąsiadujących dzielnicach, wśród zaułków i przecznicy ciemnych, wąskich a brudnych, które Demon Dżumy, jak wówczas przypuszczano, obrał na miejsce swoich narodzin — nie można było nawet krocząc jak najdumniej, spotkać nic prócz Przerzeń, Lęków i Zabobonów.

Dzielnice owe z rozkazu króla zostały wyklęte i nie wolno było nikomu — pod karą śmierci — przenikać do ich okropnych samotni.

Mimo to — ani dekret monarchy, ani olbrzymie zapory, wznoszone w progach ulic, ani możliwość potwornej śmierci, niemal w okamgnieniu pochłaniającej zuchwalca, którego żadne niebezpieczeństwo nie mogło zniechęcić do przygód — nic nie powściągało dłoni nocnych opryszków od ogałacania pustych i bezludnych domostw z żelastwa, miedzi, ołowiu i wreszcie z wszelkiego rodzaju przedmiotów, które mogły stać się źródłem jakiegokolwiek zysku.

Co zima, przy dorocznym usuwaniu zapór, stwierdzano szczegółowo, że zamki, rygle i skrytki podziemne zbyt niedostatecznie strzegły sutych zapasów wina i likierów, które — wobec trudności i niebezpieczeństw towarzyszących zmianie miejsca — spora część pewnych kupców — posiadaczy sklepów okolicznych pod musiem konieczności na czas wygnania powierzyła tak niedostatecznej poręce.

Wszakże mało kto wśród zdjętego przerażeniem motłochu uważał owe czyny za dzieło rąk ludzkich. Duchy i Gobeliny moru, Demony febry były zdaniem tłumu rzeczywistymi sprawcami klęski i raczono się wzajem a nieustannie mrożącymi krew baśniami o nich, tak iż całe mnóstwo napiętnowanych budynków zgroza na czas długi osnuła na kształt całunu, sam zaś opryszek, częstokroć zmartwiał od zabobonnego a własnymi grabieżami wywołanego strachu, obszerny okręg wyklętej dzielnicy pozostawiał na pastwę — ciemnościom, milczeniom, dżumie i śmierci.

Właśnie u jednej ze straszliwych a wyżej już wspomnianych zapór, która przekleństwem znaczyła przestrzeń poza sobą, Udziec i czcigodny Hugh Tarpaulin, którzy na łeb na szyję wtoczyli się w zaułek, spotkali nagłą swym poskokom przeszkodę. Nie było nawet mowy o odwrocie, a nie było czasu do stracenia — ze względu na tę okoliczność, iż pogoń wisiała im niemal nad karkiem. Dla rdzennych marynarzy wdrapanie się na z gruba ciosaną ścienicę znaczyło tyle, co splunięcie od niechcenia. Podjudzeni dwoistym zagrzewkiem gonitwy i likierów, odważnie przeskoczyli na tamtą stronę, po czym, pona-

Choroba, Miasto, Kradzież,  
Śmierć, Strach

Duch

Pijaństwo

<sup>3</sup>dybać przed się — tu: iść naprzód. [przypis redakcyjny]

wiając swój bieg pijany z dodatkiem krzyków i ryków, zaprzepaścili się wkrótce w onych zawitych i wyziwanych otchłaniach.

Gdyby nie to, iż byli pijani aż do utraty najniezbędniejszych zmysłów, groza położenia sparaliżowałaby im chwiejne kroki. Chłód i mgła trwały w powietrzu. Na wysokiej i tęgiej murawie, która sięgała im po kostki, bruk wyważony leżał w bezładzie piekielnym. Zwaliska domów zagradzały ulice. Najsmrodliwsze i najśmiertelniejsze wyziewy panoszyły się wszędy — i dzięki owej bladej jaśni, która nawet o północy wysnuwa się zawsze z atmosfery oparnej i dżumnej, można było rozpoznać — poległe w alejach i zaułkach lub gnijące w domostwach bez okien — ścierwo opryszków nocnych, których dłoń dżumy znieruchomiła w chwili spełniania ich czynności.

Wszakże takie oto obrazy, wrażenia i przeszkody nie były w mocy powściągnąć biegu dwóch drabów, którzy w ogóle, a tej nocy szczególnie odważni, pełni po gardła otuchy i *humming-stuffu*, nieustraszenie wtoczyliby się w samą paszczę śmierci po linii tyle prostej, ile na to stan ich obecny przyzwał. Przodem — wciąż przodem biegł złowrogi Udziec, budząc echa uroczystej pustki porykiem, podobnym do straszliwego, wojennego wycia Indian, zaś u jego boku — wciąż i wciąż toczył się przesadzisty Tarpaulin, uczepiony do kubraka zręczniejszego odeń towarzysza, i prześcigał nawet najwaleczniejsze tego ostatniego wysiłki w sztuce wokalne — za pomocą *kontrabasowych* porykiwań, dobytých z suterenu swych płuc gromowładnych.

Dotarli oczywiście do samego gniazda dżumy. Z każdym krokiem, a raczej z każdym koźlim skokiem świat przed nimi stawał się coraz groźniejszy i coraz bardziej zapowietrzony<sup>4</sup>, a ścieżki coraz węższe i coraz bardziej zawikłane. Olbrzymie kamienie i bele spadały od czasu do czasu ze skołatanych dachów, aby swym ciężkim i bolesnym upadkiem świadcząc o niezwyklej wysokości budynków dookołnych, i gdy trzeba było sił przyłożyć dla utorowania drogi poprzez częste usypiska gruzów, zdarzało się nieraz, iż dłoń ich zmacała szkielet lub ugrzęzła w pogniłych zwłokach.

Wtem — ni stąd, ni zowąd — marynarze nasi potknęli się o próg obszernego budynku o wyglądzie złowieszczym.

Przenikliwszy niż dotąd poryk wyrwał się z gardzieli oczajduszy<sup>5</sup> Udźca, a zawtórzyl mu od wewnątrz pośpieszny, niezwłoczny wybuch dzikich, demonicznych okrzyków — niemal pogrzmiem śmiechu.

Nie ulękłszy się owych dźwięków, które samym swym rodzajem w podobnym miejscu i w podobnej chwili zdołałyby zmrozić krew w piersiach objętych mniej cokolwiek bezpowrotnym pożarem, dwaj nasi opoje podanym ku dołowi lbem ubodli drzwi, wyważyli je i runęli w sam środek czegoś nieokreślonego, klnąc przy tym niemilosernie.

Sala, do której wpadli, okazała się spichrzem przedsiębiorcy uroczystości pogrzebowych, lecz rozwarła w narożu podłogi, w pobliżu drzwi, kłapa ukazywała cały przestrzał piwnic, których zagłębła, jak głosił brzęk tłuczonych butelczyn, były godnie zaopatrzone w swą tradycyjną zawartość. Na środku sali sterczał stół, na środku stołu tkwiła przesadnie wielka waza, pełna, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ponczu. Butle wina i likieru na równi z garnkami, dzbanami i lampkami wszelakiego kształtu i wszelakiego rodzaju obficie były rozrzucone tu i ówdzie po stole. Wokół stołu na kobyłkach<sup>6</sup> spod trumien siedziało towarzystwo z sześciorga złożone osób. Postaram się opisać je po kolei.

Naprzeciw drzwi i nieco powyżej reszty towarzystwa siedziała osobistość mająca pozory przodownika uczy. Była to istota odarta niemal z ciała, olbrzymiego wzrostu i Udziec osłupiał, ujrzawszy wręcz większego od siebie chudziaka. Twarz onej istoty była żółta jak szafran. Żaden atoli rys, z wyjątkiem jednego, nie był tak wybitny, aby zasługiwał na opis poszczególny. Owym rysem jedynym było czoło, tak anormalnie i tak potwornie wysokie, iż można je było przyrównać czepcowi lub obręczy mięsnej, przylatanej do głowy rzeczywistej. Wyraszał z czoła koślawiająca się gęba, a ślepie, jak ślepie wszystkich biesiadników, jarzyły się ową osobliwą szklistością, o którą przyprawia wypar pochłoniętych trunków. Odziany był ów jegomość od stóp do głów w płaszcz z czarnego, suto haftowanego aksamitu, który niedbale falował wokół jego postaci na

Miasto, Choroba, Trup

Pijaństwo, Odwaga

Miasto, Ruiny, Choroba,  
Śmierć, Trup

<sup>4</sup>zapowietrzony (przestarz.) — chory zakaźnie. [przypis redakcyjny]

<sup>5</sup>oczajdusza — oszust, łobuz. [przypis redakcyjny]

<sup>6</sup>kobyłka — rodzaj podpórki z desek zbitych w taki sposób, by tworzyły kształt litery A. [przypis redakcyjny]

kształt hiszpańskiej opończy. Głowę miał obficie najeżoną karawaniarskimi pióropusza-  
mi, którymi potrząsał w przód i wspak z nieporównanie przesadną chełpliwością, zaś  
w prawej dłoni dzierzył kość udową ludzką olbrzymich rozmiarów, którą właśnie przed  
chwilą, jak się zdaje, zdzielił jednego z członków zgromadzenia na znak, iż go do śpiewu  
powołuje.

Naprzeciwko onego jegomości, plecami do drzwi zwrócona, tkwiła jejmość, która mu  
zgoła nie ustępowała cudacznością swego oblicza. Choć wzrostem dorównywająca opisa-  
nej przed chwilą osobistości, nie miała wszakże powodów do uskarżania się na przeciwną  
przyrodzeniu chudość. Najwidoczniej była w ostatnim okresie puchliny wodnej<sup>7</sup> i kształt  
jej wielce przypominał olbrzymią baryłę *październikowego piwa*, która — z odbitym u gó-  
ry dnem — stała tuż obok jej boku, w zakątku komnaty. Twarz jej była osobliwie okrągła,  
czerwona i obrzmiała, i ta sama odrębność, a raczej brak odrębności, o którym już nad-  
mieniałem z powodu przodownika uczyty, piętnował jej oblicze — mianowicie jeden tylko  
rys jej twarzy zasługiwał na opis szczegółowy.

Stało się, iż przenikliwy Tarpaulin zauważył niezwłocznie ogólną oznakę, którą można  
było zastosować do wszystkich członków towarzystwa: każdy zdawał się zagarniać na wy-  
łączną własność jeden ułamek twarzy. Dla jejmości, o której mowa, ułamkiem owym była  
— gęba, gęba, która poczynając od prawego ucha, szerzyła się aż do lewego, zakreślając  
po drodze przeraźliwą otchłań tak, że jej nazbyt krótkie zausznice zwilżały się co chwila  
w owym przepastnym otworze. Jejmość wszakże nie szczędziła wszelkich ze swej strony  
zabiegów, aby ustom przestrzegać domknięcia i zachować godność swej postaci. Strój  
jej stanowił — świeżo nakrochmalony i odprasowany kir, który sięgał aż do podbródka,  
oraz marszczona kryza<sup>8</sup> z powiewnego batystu<sup>9</sup>.

Po jej prawym boku siedziała tyca młódka, która zdawała przewodniczyć zebraniu.

Ta zwiewna, drobna istota — drżeniem przesmusklonych palców, sińcami warg i prze-  
rzystym, gorączkowym wypiekiem, piętnującym jej ołowianą skądinąd cerę, zdradzała  
widoczne oznaki rozszalałych suchot. A jednak zamię dostojnego wykwintu jaśniało  
w całej jej postaci. Z wdziękiem i zgoła niewymuszenie nosiła na sobie obszerny i na-  
dobny całun z na skroś wytworzonego, indyjskiego samodziału. Warkocze falą kędziarów  
spływały jej na karczek. Słodki uśmiech igrał na jej ustach, lecz nos bezgranicznie wy-  
dłużony, cieniuchny, węzowo skręcony, gibki i opryszczony zwiślał o wiele poniżej dolnej  
wargi. I ów ryjek, mimo powabu, z jakim go przemiejscowiwała od czasu do czasu i usuwała  
językiem już to na prawo już to na lewo — nadawał jej twarzy wyraz wcale niedwuznac-  
ny.

Po drugiej stronie — po lewicy jejmości dotkniętej wodną puchliną, siedział kusy  
staruch — obrzmialec, astmatyk i podagryk<sup>10</sup> w jednej osobie. Policzki jego wylegiwały  
się na ramionach jak dwa wielgaśne bukłaki wina z Oporto. Z dłońmi skrzyżowanymi,  
z jedną nogą zasobną w opatrunek i gwoli spoczynku złożoną na stole — miał snadź —  
pozór człowieka, który czuje prawo do pewnego szacunku. Najwidoczniej czerpał sporo  
dumy z każdego cała swej przyrodzonej powłoki, lecz osobliwych zadowoleń dostarczało  
mu ściąganie uwagi powszechnej na swój jaskrawej barwy surdut. Surdut ów niezaprze-  
czenie kosztował go niemało pieniędzy i samym swym rodzajem sprawiał, że mu w nim  
było wielce do twarzy. Użyto nań jednej z tych jedwabnych, po mistrzowsku haftowa-  
nych tkanin, stanowiących przynależność chwalebnych godeł, które w Anglii i w innych  
krajach wieszają w miejscu łatwo<sup>11</sup> widocznym, ponad domami wielkich rodzin, w czasie  
ich nieobecności.

<sup>7</sup>*puchlina wodna* (daw.) — schorzenie polegające na gromadzeniu nadmiernej ilości wody (płynu przesię-  
kowego) w jamach ciała: otrzewnej (puchlina brzuszna), opłucnej, worku osierdziowym, układzie komorowym  
mózgu (wodogłowie); współcześnie obrzęki tego typu łączy się z innymi schorzeniami i nie wyróżnia się pu-  
chliny wodnej jako osobnej jednostki chorobowej. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup>*kryza* — plisowany lub fałdowany szeroki kołnierz. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup>*batyst* (z fr. *batiste*) — delikatna, bardzo cienka, przezroczysta tkanina z lnu, bawełny lub jedwabiu; wy-  
konywano z niej chusteczki oraz wytworną odzież. Nazwa pochodzi od imienia fr. wynalazcy z XIII w. Batiste  
Chambrey. [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup>*podagryk* — chory na podagrę (dzisiejsza nazwa: dna moczaniowa, artretyzm a. skaza moczaniowa), prze-  
wlekłą chorobę związaną z zaburzeniem metabolizmu kwasu moczowego, objawiającą się opuchlizną i zacer-  
wieniem stawów (najczęściej wielkiego palca u stopy) lub tkanek miękkich oraz szarpającym, napadowym  
bólom. [przypis redakcyjny]

<sup>11</sup>*łatwo* (daw.) — łatwo. [przypis redakcyjny]

Kobieta, Ciało

Uroda

Uroda, Strój

Obyczaje, Szlachcic

W poboku niego, po prawicy przodownika uczy, tkwił jegomość w długich, białych ponczochach i bawełnianych majtkach. Całą jego osobą wstrząsała śmieszliwie drgawka nerwowa, którą Tarpaulin przezywał *śmiertelną ciągotą* pijaństwa. Jego świeżo wygolone zuchwy krępował ściśle bandaż muślinowy, a ręce, w ten sam sposób przewiązane w napałkach, ujmowały mu swobody osobistego posługiwania się zastawą likworów, którą to przezorność, zdaniem Udźca, uzasadniał osobiście zbydlęciały wyraz jego twarzy hulaszkiej. Mimo to para niezwykłych uszu, których bez wątpienia nie mógł trzymać na uwięzi, prężyła się ku górze i od czasu do czasu podrygiwała spazmatycznie na odgłos każdego strzelającego z butli korka.

Pijaństwo

Przeciwniegi mu — szósty a ostatni osobnik miał pozór osobiłej drętwy i, dotknięty paraliżem, czuł się chyba nieswojo w nazbyt niedogodnej szacie. Był przyodziany (przyodziewek zapewne jedyny w swym rodzaju) w powabną trumnę ze świeżego całkiem mahoniu. Na czasce jego — na kształt hełmu — wspierał się kraniec wieka i przysłaniał go, jak rodzaj kaptura, nadając twarzy wyraz trudnej do opisanja zalotności. Rękawy zastąpiono wydrążonymi z dwu stron otworami, tyleż dla wygody, ile dla elegancji. Lecz ubiór ten chwilami wzbraniał nieszczęsnemu strojnisiowi tkwić prosto na swym miejscu na wzór reszty towarzyszków<sup>12</sup> i, ponieważ przystawiono go do kobyłki w pochyleniu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tedy obydwie jego obszerne a wybałuszone źrenice wywracały się i miały swe straszliwe, białawe gomóły ku pułapom, jakby do cna zdumione własnym ogromem.

Strój

Przed każdym biesiadnikiem w zastępstwie kielicha stał półczerep ludzki. Nad ich głowami wisiał kościotrup na sznurze przewiązanym wokół jednej z jego nóg i przytwierdzonym do pierścienia tkwiącego w suficie. Druga noga, wolna od podobnej uwięzi, pod kątem prostym odstrychnęła się od całości, zniewalając pogmatwany i dygotliwy szkielet do płaśów i piruetów, ilekroć powiew wiatru torował sobie ujście przez salę. Czaszka onego straszdydła zawierała niezbędną małość płonących żużli, które na wszystką dookoła rzucały światło migotliwe, lecz silne. I trumnice, i wszelki dobytek przedsiębiorcy pogrzebowego, spiętrzony wokół komnaty i u okien, nie pozwalał żadnemu promieniowi wysliznąć się na ulicę.

Trup, Światło, Uczta

Na widok tego dziwnego zgromadzenia i jeszcze dziwniejszych sprzętów dwaj nasi marynarze nie zachowali całkowitego poloru<sup>13</sup>, którego można było po nich się spodziewać. Udziec, wsparłszy się o ścianę, popod<sup>14</sup> którą był się znalazł, opuścił dolną zuchwę jeszcze niżej niż zazwyczaj i swe olbrzymie oczy rozwarł, ile mógł, na oścież, podczas gdy Hugh Tarpaulin, pokładając się aż do zrównania poziomu swego nosa z płaszczyzną stołu i uczepiwszy się dłońmi za własne kolana, wybuchnął zgoła zbytecznym i niewczesnym<sup>15</sup> śmiechem, który to śmiech był raczej pełnym dalszych ciągów, huczny a ogłuszającym porykiem.

Wszakże, niezrażony tak wyjątkowym nieokrzesaniem, wybujały przodownik uczy powitał nieproszonych gości wielce uprzejmym uśmiechem, obdarzył ich pełnym godności skinieniem czarno upierzonej głowy i powstawszy ujął każdego pod ramię i zaprowadził do siedliska, które właśnie przed chwilą reszta pozostałych biesiadników sporządziła ku ich potrzebie. Udziec niczemu się bynajmniej nie opierał i usiadł tam, gdzie mu wskazano, podczas gdy zalotny Hugh, usuwając swą kobyłkę z honorowego za stołem miejsca, przeniósł wspomniany przybór do pobliza drobnej, w całun wystrojonej suchotnicy, z tęgą radością grzmotnął się tuż obok niej na siedzenie i, czerwonym winem napelniwszy czerep, wyżłopał go do dna na cześć najściślejszej znajomości. Lecz owo napomknienie sprawiło, iż sztywny jegomość w trumnicy okazał coś w rodzaju szczególnego a najwyższego rozdrażnienia. Mogłyby stąd wynikać poważne następstwa, gdyby przewodniczący, grzechocąc po stole swym berłem, nie skupił uwagi obecnych następującą przemową:

— Szczęśliwa sposobność, która się nadarza, obowiązuje nas...

— Słuchaj no, ty! — przerwał Udziec, niezmiernie poważniejąc w twarzy<sup>16</sup> — słuchaj no krztynę czasu, coć gadam, i powiedz nam, co wy za jedni jesteście, u kaduka, i dokoła

<sup>12</sup>towarzyszów — dziś popr. D. lm: towarzyszy. [przypis redakcyjny]

<sup>13</sup>polor (z łac. *polire*: polerować, wygładzać) — przen. ogląda towarzyska, dobre manieri. [przypis redakcyjny]

<sup>14</sup>popod (przestarz.) — pod. [przypis redakcyjny]

<sup>15</sup>niewczesny — mający miejsce „nie w czas”, w niewłaściwym czasie. [przypis redakcyjny]

<sup>16</sup>poważniejąc w twarzy — dziś popr. poważniejąc na twarzy. [przypis redakcyjny]

jakiej roboty krzątacie się tam, postrojeni niczym czarci z kałuży, i złoپیący niezgorszą gorzałę naszego czcigodnego druha, Willa Wimble'a — karawaniarza — oraz wszystkie jego, na zimowe leże uciulane zapasy!

Wobec tej nie do wybaczenia próbki złego wychowania, całe dziwaczne zgromadzenie na wpół porwało się z siedzeń i pośpiesznie wygardłowało huf<sup>17</sup> diabelskich okrzyków, podobnych do tych, które pierwotnie przykuły uwagę marynarzy.

Przewodniczący wszakże pierwszy odzyskał zimną krew i po chwili, z wielką godnością zwracając się do Udźca, rzekł:

— Jedyne w drodze najwyższej naszej łaski zadośćuczynimy słusznej ciekawości tyle znamienitych, aczkolwiek nieproszonych gości. Niechże wam tedy będzie wiadomo, iż jestem monarchą tego państwa i panuję tu bezpodzielnie pod imieniem króla Dzumca Pierwszego. Sala niniejsza, którą zbyt niesłusznie posądzaście o przynależność pod postacią kramu Willowi Wimble'owi, przedsiębiorcy uroczystości pogrzebowych — istocie, nam nie znanej, a której plebejuszowskie nazwisko nigdy — aż do nocy obecnej — nie uraziło naszych uszu królewskich — sala niniejsza, powtarzam, jest Salą Tronową naszego Pałacu, przeznaczoną na miejsce obrad naszego królestwa oraz na inne czynności świętej a wyższej dziedziny.

Dostojna Pani, która naprzeciwko zasiadła, jest królową Dzumy, naszą Jaśnie Oświeconą Małżonką. Inne prześwytne oczom naszym dostępne osoby z naszego są rodu i w swych czcigodnych imionach noszą oznakę królewskiego pochodzenia. Jego łaskawość Arcyksiążę Za-Dzumieniec, Jego łaskawość książę Po-Mór, Jego łaskawość książę Mucho-Mór i jej Wysokość Jaśnie Oświecona Arcyksiężna A-Morowa. Co się zaś tyczy — dodał — waszego pytania odnośnie do spraw, nad którymi tu obradujemy, niechże nam wolno będzie odrzec, iż należą one do naszych królewskich i osobistych zabiegów, nikogo prócz nas stanowczo nie obchodzą. Lecz zważywszy owe względy, których moglibyście żądać jako goście i cudzoziemcy, raczymy nadto wam wyjaśnić, iż tej nocy zasobni w głęboką wiedzę i sumienne badania, zebraliśmy się gwoli doświadczenia, analizy i określenia raz na zawsze niepochwytnej treści, niepojętych zalet oraz istoty wewnętrznej owych nieocenionych skarbów podniebienia, jakimi są wina, *alesy* i likiery tej tu przewybornej stolicy — i ażeby, tak oto czyniąc, nie tylko dokonać powziętego zamiaru, lecz i zwiększyć jednocześnie rzetelne zyski owego władcy, który nie z tego jest świata, który nam wszystkim króluje, którego państwo nie ma granic, a którego imię jest — Śmierć!

— Którego imię jest Davy Jones — zawołał Tarpaulin, podając pobliskiej damie pełen czerep likieru i nalewając sobie — drugi.

— Nieuk, do niczego! — rzekł przewodniczący, zwracając z kolei uwagę na czcigodnego Hugh'a. — Nieuk i wisus<sup>18</sup> szkaradny! Otośmy rzekli, iż uwzględniając owe prawa, do których pogwałcenia nawet w tej nikczemnej osobie zgola nie byliśmy skłonni, raczyliśmy odpowiedzieć na twe nieokrzesane i niewczesne zapytunki. Wszakże sądzimy, iż wobec bezprawnego z waszej strony wściubstwa przedmiotu naszych obrad obowiązkiem z naszej strony jest — skazanie was obu — ciebie i twego towarzysza — na karę przelknięcia jednego dla każdej gardzieli cebrzyka *black-strapu*, który wychylicie za dobrobyt naszego królestwa — jednym tchem i na klęczkach po czym niezwłocznie wolno wam będzie — jednemu i drugiemu — wyruszyć w dalszą drogę lub pozostać i korzystać z przywilejów naszego stołu, wedle osobistych a stosownych upodobań.

— Uważałbym za bezwzględnie niemożliwość — odparł Udziec, któremu postawa i godność króla Dzumca Pierwszego narzuciły widocznie uczucie niejakiego szacunku i który, powtarzamy, wsparł się na stole w chwili, gdy ów przemawiał — uważałbym, nie urażając Waszej Królewskiej Mości, za bezwzględnie niemożliwość obładowanie mojej kajuty nawet ćwiercią onego likieru, o którym Wasza Królewska Mość wspomniała. Pomijając milczeniem wszelaki nabytek, którego na kształt balastu — przysporzyliśmy skoro świt naszym pokładom, i nie wymieniając przeróżnych *alesów* i likierów, w które — skoro zmierzch — zaopatrzyliśmy się w rozmaitych przystaniach, dźwigam na razie obfity ładunek *hummingstufu*, pobrany a *nadający się do opłaty* w gospodzie „Pod Wesołym Wilkiem Morskim”. Niechże Wasza Królewska Mość raczy być tyle łaskawą, aby

<sup>17</sup>*huf* — hufiec; tu przen.: dużą ilość, szereg. [przypis redakcyjny]

<sup>18</sup>*wisus* (daw.) — urwis, psotnik. [przypis redakcyjny]

Król

Śmierć, Wino

Alkohol, Pijaństwo, Sąd

uwzględnić ową okoliczność. Nie mogę bowiem i nie chcę pod żadnym pozorem przelknąć jednej nawet ponad miarę kropli, tym bardziej kropli onych nikczemnych mętów dna okrętowego, którym godnie mogę przyrównać *black-strap*.

— Zamknij no gębę! — przerwał Tarpaulin, tyleż zdumiony dłuższą tyradą, ile rodzajem odmowy swego przyjaciela. — Zamknij no gębę, marynarzu wód przasných! Prędkoż zakneblujesz swą spluwaczkę, jak ci rzekę, Udźcze? Moja barka jeszcze jest lekka, chociaż co do ciebie — wyznaję, iż mi się wydajesz zbyt nieco od wierzchołka przeciążony. Wracając zaś do ładunku — nuże! Za czym pozbawiać się jednego ździebła, znalazłbym dlań raczej miejsce na swym pokładzie, ale...

— Tego rodzaju układ — przerwał przewodniczący — zgoła przeczy literze wyroku lub też potępienia, które w swej istocie jest po medyjsku bezpowrotne, niezmiennie i nieodwołalne. Albo warunki przez nas podane będą spełnione dosłownie i bez chwili zwłoki, albo — w przeciwnym razie rozkażemy związać was społem za szyję i za pięty i utopić jako rokoszan w tej tam beczce piwa październikowego!

— Oto — wyrok nad wyrok! — Co za wyrok!

— „Słuszny, sprawiedliwy wyrok!” — „Dekret iście chwalebny!” — „Wielce godne, wielce bezzaradne i wielce świątobliwe pokaranie!” — wrzasnęli wszyscy razem członkowie rodziny Dzumców. Król uświetnił swe czoło niezliczonymi fałdami. Karzelkowaty a leciwy podagryk odął się jak miech. Dama w samodzielnym całunnie — rozważała swój nosek w prawo i w lewo. Jegomość w majtkach wprawił swe uszy w podrygi. Jejmość w kirze rozwarła pysk jak ryba w chwili śnięcia, zaś osobnik w trumnie mahoniowej jeszcze bardziej zesztyniał i wywrócił oczy ku pułapom.

— Hu, hu! — ryczał Tarpaulin, zanosząc się od śmiechu bez względu na ogólne zamieszanie. — Hu, hu, hu! — Hu hu, hu! — Toć rzekłem przed chwilą, gdy właśnie król Jegomość Dzumiec wściubił swoje trzy grosze, iż różnica dwóch lub trzech cebrzyków poniżej lub powyżej miary jest drobiażdżkiem dla takiej jak ja, przedniej i rzetelnej barki, ile nie jest zbyt przeladowana — lecz gdy chodzi o wychylenie kieliszka za zdrowie (odpuść mi Boże) Diabła i o trwanie na klęczkach wobec pokąźnego a obecnego tutaj Majestatu, o którym wiem tak samo dobrze, jak własnej przynależności do cechu rybackiego, iż nie jest niczym innym, jeno błaznem Tomkiem Hurlygurly, o! w takim razie — inna to zgoła sprawa, która przechodzi moje siły i moje rozumienie.

Nie dane mu było spokojnie dokończyć przemowy. Na dźwięk imienia Tomka Hurlygurly wszyscy biesiadnicy porwali się z miejsc.

— Zdrada! — zawył Najjaśniejszy król Dzumiec Pierwszy.

— Zdrada! — zawołał drobnoustrojowy podagryk.

— Zdrada! — jęknęła Arcyksiężna A-Morowa.

— Zdrada! — wycedził jegomość z przewiązаныmi żuchwami.

— Zdrada! — mruknął osobnik w trumnie.

— Zdrada, zdrada! — wrzasnęła Jej Królewska Mość — niewiasta z paszczą — i, ulapiwszy za tylną portek okolicę nieszczęsnego Tarpaulina, który się właśnie zakrzętnął wedle napełnienia likierem czerepu ku własnej potrzebie, sprężyście uniosła go do góry i z pominięciem wszelkich względów wrzuciła do pakownej, otwartej beczki, pełnej po brzegi ulubionego przezeń *ale'u*. Szamocząc się przez kilka chwil, jak jabłko w wazie *toddy*, Tarpaulin koniec końcem dokonał całkowitego zniknięcia w rozkłębach piany, którą szereg jego wysiłków utworzył, ma się rozumieć, w płynie, już z przyrodzenia łatwo pienistym.

Wszakże marynarz-olbrzym nie pogodził się z widokiem porażki swego druha. Cisnąwszy króla Dzumca na złamanie karku do rozwartych drzwi piwnicznych waleczny Udziec zatrzasnął gwałtownie drzwi nad nim, klnąc na przydatek, i rzucił się w sam środek sali. Tam — zrywając szkielec zawieszony ponad stołem, pociągnął go ku sobie z taką siłą i z tak dobrym skutkiem, że zdołał w tej samej chwili, gdy zgasły na sali ostatnie promienie światła, zmiążyć łeb kusemu podagrykowi. Poskoczywszy ku nieszczęsnej beczce, pełnej październikowego *ale'u* i Tarpaulina, wywrócił ją w okamgnieniu tak, iż się potoczyła. Zionął stąd potop likieru tak wściekły — tak rozhlukany, tak wszechogarniający, że zalał salę od ściany do ściany, wywrócił stół wraz z całą zawartością, kobyłki spod trumien zwałił — jedną na drugą — wazę ponczu pogrążył w kominku, a damy — w spazmach. Stosy sprzętów pogrzebowych poszły w rozsypkę. Kielichy, dzbany i butle w plecionkach

Alkohol, Zdrada, Kara

Walka, Ucieczka



z sitowia pogmatwały się w straszliwym beładzie, zaś fiasze, łożiną<sup>19</sup> opatulone, zderzyły się z łagwiami<sup>20</sup>, opancerzonymi szpagatem<sup>21</sup>. Człeczyna z *ciągotą* z miejsca w falach utonął — drobny jegomość paralityk — wygodnie płynął w swej trumnicy, a zwycięski Udziec, wpół porwawszy otyłą jejmość w kirze, wyskoczył wraz z nią na ulicę i posterował wprost w kierunku „Free-and-Easy”, pilnie przestrzegając prądów wiatru i holując straszliwego Tarpaulina, który, trzykroć lub czterokroć kichnąwszy, sapał i dyszał tuż za nim w towarzystwie Arcyksiężnej A-Morowej.

---

<sup>19</sup>łożina — gałązki wierzbowe; często bywają używane do wyplatania różnych sprzętów (koszyków, mebli itp.). [przypis redakcyjny]

<sup>20</sup>łagiew (daw.; z łac. *lagena*, gr. *lagynos*) — naczynie do przechowywania i transportowania płynów; mogło być ceramiczne, drewniane, metalowe lub skórzane; rzemieślnik wyrabiający takie naczynia zwany był łagiewnikiem. [przypis redakcyjny]

<sup>21</sup>szpagat — cienki, mocny sznurek. [przypis redakcyjny]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krol-dzumiec>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, *Maska śmierci szkarłatnej*, tłum. Bolesław Leśmian, Oficyna Wydawnicza Latona, Warszawa 1992

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: Jill Clardy@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0694-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.